

JÓZEF LASOŃ.

LUDZIE CZY SZAKALE?

(Ze wspomnień Legionisty).

(Prawo przedruku zastrzeżone.)

VII.

— Rachunkowy! Podoficer rachunkowy!
— Rozkaz?!
— Siana dla koni zakupić! Wziąć żołnierzy, sześć fur i do wsi trzeba jechać. Pieniądze wyda kasyer batalionu. Wracać prędko, bo lada chwila dalej wyruszamy!

— Według rozkazu! — zaszalutowałem, oddalając się pospiesznie do trenu.

Była godzina druga po południu. Gdzieś najdalej na siódmą trzeba być z powrotem, a do najbliższej wsi ze dwadzieścia kilometrów. Zgłosiłem się do adjutanta, wydał mi potrzebną ilość pieniędzy. Sześć par koni zaprzęgli furmani do wozów, wydzielili żołnierze, siedząc na wozach, czekali na moje przybycie. Przeglądałem fury, czy wszystko w porządku, usiadłem na pierwszej furze i dałem znak do odjazdu. Obok mnie usiadł jeden z Legionistów, który umiał po rusku, gdyż ja w żaden sposób nie mogłem się rozmówić z Rusinami.

Ruszyły konie żwawo, trzęsąc furami po wyboistych drogach. Już lepszy marsz, niż taka jazda, która wnętrzościami człowieka trzepie jak galareta. Pospieszyć się jednak trzeba, rozkaz wypełnić na czas.

Jedziemy równiną. Pola, kukurudzą obsadzone, ciągną się przed nami. Na północnym wschodzie wygląda pasmo gór. To Karpaty. Jesteśmy u przednóża Karpat.

Biedną mi się wydała ta węgierska ziemia u podnóża Karpat. Nie widać tu, tak jak u nas, uprawnej ziemi, łąnów zboża. Kukurudza, ziemniaki, pola słonecznikowe, to prawie wyłączna uprawa roli. Miejscami ciągną się nieuprawne pola, leżące odłogiem.

Rozmyślałem, czy ziemia tutaj tak nieurodzajna, czy brak chętnych rąk do uprawy tej ziemi.

Z rozmyślań wyrывa mnie głos żołnierza Bratkowskiego:

— Obywatelu rachunkowy!

— Co jest!? — odwracając głowę, spytałem.

— Może będzie coś z pukania. Straszna mam ochotę pukać sobie parę razy z tego greka. Nowiutki karabinek, aż mię w dłoni świerzbi. Puknął bym parę razy, żeby tylko było do czego!

— Ja ci puknę! — rozśmiałem się — Będzie dość czasu na pukanie. Uważać tylko bacznie, żebyśmy nie wpadli w jaką pukanię.

— Wytrzeszczam oczy na wszystkie strony. Ja ta już uważam bacznie, bo chciałbym koniecznie pukać sobie parę razy.

— Więc uwaga! Jak będzie do czego, to będziemy pukać!

— Niema psiakrew Moskali już tutaj!

— Uciekły szelmy! — któryś z drugiego wozu odpowiedział.

Wjeżdżamy w wieś.

Ładnie wyglądają wsie węgierskie. Domki szeregiem budowane, równiutko, robią wrażenie szachownicy. Szczególnie z góry patrząc na wioskę taką, ma się wrażenie, że to kolumna wojsk, podzielona na bataliony, kompanie, które stoją nieruchomo, równiutko, w przepisanych odstępach.

Zatrzymuję wozy, zeskakujemy na ziemię przed pierwszymi domami. Wieś prawie zupełnie pusta. Mieszkańcy poukrywali się w izbach, spoglądając ukradkiem przez okno, kto to do wsi przyjechał.

Nic dziwnego. Niedawno grasowały tu patrole kozackie, dały się mieszkańcom porządnie we znaki, tak, że z przerażenia nie mogą jeszcze przyjść do siebie.

Wchodzę do przydrożnej chaty. Gospodarz stał przy oknie, patrzył na stojące fury i rozprawiających żołnierzy. Na łóżku troje drobnych dzieci, brudnych, nieuczesanych, w potarganych koszulinach, trwożnie siedziało, przypatrując mi się z obawą.

— Hej! gospodarzu! Macie siano w stodole?

— Siano! Siano! — odpowiedział akcentem słoweńskim — Mało siana mam.

— Chcę kupić! Zapłacę wam dobrze! Potrzebuję kilka fur dla wojska.

— Mało mam! Ale w tych drugich chałupach jest dużo siana. Tam u wdowy jest dużo siana.

— Pokażcie!

Wyprowadził mnie na pole za chatę. Trzy stogi siana piętrzyły się w górę.

— Czyje to siano? — spytałem.

— Moje, moje... ale mało mam. Dla bydła trzeba.

Począł lamentować, że zima przyjdzie długa, że potrzebuje dla swego gospodarstwa. Zaprowadził mnie do wdowy. Tu znowu ta sama historia.

— Słuchajcie ludzie! — przemówiłem ostro — Siano muszę mieć. Za darmo nie chcę od was nic, zapłacę tyle, wiele chcecie, ale muszę mieć. Nie chce jeden sprzedać dużo, to ugodzić się tak, abym od każdego mógł choć po jednej furze wziąć.

To poskutkowało.

— Dobrze panie! Dobrze! Po jednej furze damy.

— Po wiele chcecie za furę? He?

— Po wiele dacie?

— Po cztery korony!

— To mało panie. Mało. Po sześć!

— Nie! Po sześć nie dam. Ale żeby wam krzywda nie była, dam po pięć, ale natychmiast mi ładować!

— Dobrze, panie!

— Hola chłopcy! Zajedźcie z wozami. Po jednej furze od każdego gospodarza.

Ostatnią furę braliśmy od szwagra tego gospodarza. W domu go nie było, były tylko drobne dzieci, które na widok żołnierzy, ładujących siano z ich stodoły, zaczęły głośno szlochać i zawodzić.

— Czegóż płaczecie dzieci? — spytałem, głaszcząc je po rozczochranych czuprynkach, gdyż żal mi się ich zrobiło.

— Oj! oj! siano nam biorą! Oj! oj!

— Cicho dzieci — gospodarz przemówił — pan zapłaci za siano.

— Zapłaci? — spytała dziewczynka, patrząc nieufnie na mnie.

— Zapłaci! Zapłaci! — uśmiechnąłem się — a tu macie dla was na cukierki — rzekłem, dając im po parę drobnych miedzaków.

Uspokoili się zupełnie, oglądając na wszystkie strony podarowane miedzaki.

— Bo, wiecie panie — przemówił chłop — przed paru dniami byli tu Moskale. Zrabowali co się dało, poniszczyli, tak też i dzieciśka przestraszone myślą, że wyście panowie przyszli zabierać! Takie to głupie dzieciśka.

Po naładowaniu fur sianem, spytałem gospodarza, gdzie by tu można mleka trochę dostać i chleba.

— Mleka panie, to w całej wsi nie ma, a chleba to pół bochenka mogę dać.

Wyniósł z chaty pół bochenka chleba kukurudzanego. Chciałem mu zapłacić, nie przyjął pieniędzy. Dałem tedy po szóstaku dzieciom na cukierki, które boso po błocie deptając, koło fur z sianem goniły.

— Karczmy tu nie ma we wsi? — zapytał Bratkowski.

— Niby jest, ale wątpię, czy co w niej będzie, bo tam strasznie kozacy wojowali. Aż strach pomyśleć, co oni tam nie wydziewiali!

Z chat powychodzili mieszkańcy, przypatrując się nam i poczęli mówić o okrucieństwach kozaków. Jakaś niemłoda żydówka podeszła ku nam i użalając się poczęła opowiadać:

— Mój ojciec w Czerniowcach prowadził interes mleczarski. Jeździł po wsi i mleko skupował. Jak przyszli Moskale do Czerniowiec, tak ja prosiłam ojca, żeby wyjechał z Czerniowiec i w jakiej wsi ukrył się. Ale ojcu żal było interesu rzucić, tak też pozostał i jeździł dalej po mleko, przywożąc je do miasta, robił dobry interes. Raz jak jechał z mlekiem, spotkała go patrol kozacki. Obrabowali go z pieniędzy i chcieli go umęczyć, gdy nagle ukazała się patrol naszych huzarów węgierskich.

Zakrzusła się, obtarła twarz fartuchem.

— Oj! oj! co te złodzieje, rabuszniki zrobili mi z ojcem! Oj! oj!

— Cóż takiego!?

— Proszę panów, żeby ich ziemia żywcem pochłonięła. Oj! oj!

— Cóż zrobili pani ojcu?

— Nie zrobili, tylko tate teraz jest waryat. Tate zwaryował. On już nigdy zdrow nie będzie.

Co chwilę się zrywa i woła przeraźliwym głosem: „Uciekaj! uciekaj! kozaki!” a potem dostaje szału.

— A coż mu zrobili?

— Jak oni — ciągnęła dalej żydówka — zobaczyli patrol naszą, tak odpręgli konia, mleko wylali do rowu, wóz przewrócili do góry. Mój ojciec, widząc co się dzieje, chciał ucieknąć. Ale jeden z nich pochwycił go za kołnierz i wtłoczył przemocą pod wóz. Sami zaś poczęli z za wozu strzelać do huzarów. Tak, proszę panów, mój tate przez pół godziny przeżył w okropnym przestraszu. Już myślał, że żywy nie wyjdzie z pod tego wozu. A jak kule zaczęły trafiać w wóz i przebić deski, tak zemdał. Potem kozacy uciekli i nasi huzarzy wyswobodzili go z pod tego wozu. Ale on był jak nieżywy. Kiedy go ocucono, to uciekł czempredzej, wóz, konia, bla-

szanki z mleka zostawił. Przyleciał do domu, jak waryat zaczął krzyczeć i lamentować! Tak my potem uciekli i tuśmy się schronili. Ale tate jest całkiem zwaryowane. A jak przed tygodniem zobaczył tutaj kozaków, to do piwnicy się schował i przez cztery dni przesiedział, nie chcąc wyjść! To, co im mój ojciec był winien? Że mleko sobie sprzedawał?! Za co oni mu zrobili takie krzywdy? — jęczała żydówka.

— To dzicz! To carska dzicz! — zaklął Bratkowski — miej tu litość nad takim wrogiem. Wywieszać tę dzicz... tatarskie hordy...

— Skaranie Boskie z tymi kozakami! — odezwał się chłop — pytacie się, za co wam ojca utracili, a gorzej jeszcze zrobili karczmarzowi. Gorzej!.. Taką ładną córkę miał, tyle pieniędzy dał i wszystko na nic.

— Tu w tej wsi? — zaciekawiony spytałem.

— Tutaj panie! W karczmie!

— Dawno temu!

— Będzie ośm, albo dziewięć dni, kiedy ta horda tutaj się zwała. Biedny karczmarz.

— O, prawda, biedny Weigel, choć ta żyd, ale dobry człowieczyzna był — westchnęła któraś z kobiet.

— Jedynaczkę miał! Ładna dziewczyna i dobra!

— Cóż tam z nią? Chwilę czasu mamy, opowiedzcie no, potem do karczmy wstąpimy.

— To ja was zaprowadzę! — rzekł chłop, siadając na furę koło mnie.

Podcięto konie, ruszyliśmy. Chłop odetchnął głęboko, a potem począł opowiadać:

— Wiecie, panie komendancie! — ośm dni temu, pod wieczór już było, tak jak dzisiaj, kiedy ludziska poczęli rozpowiadać, że Moskale do wsi naszej idą. Pokryli się po chałupach ludzie, pochowali, co ta lepszego było, na strych, do kątów i w trwodze uciekają. Ciemno już na dworze było, kiedy kilku kozaków do wsi zajechało. Przepatrzyli najsamprzód wieś, o wojsko nasze się pytali, czy byli tutaj, wielu i gdzie poszli. Ale się nigdzie prawdy dowiedzieć nie mogli. Co jeden to inaczej gadał, tak, że się nic nie mogli dowiedzieć! Zgniewało ich to bardzo, zaczęli się odgrażać, że całą wieś podpalą, wszystkich wymordują, jak im prawdy nie powiemy. Za godzinę może nadciągnęła ich cała chmara, obsiadła wieś. Poczęli po domach chodzić, niby szukać naszych żołnierzy, a zabierali, co im na drodze stało. Mnie zabrali trochę garnków, chleba, com miał świeżo upieczony, wylapali mi drób i chcieli bydło zabrać, ale się ostro postawił, tak mi ta dali spokój. Dziewczęta i kobiety na strychach się poukrywały, ale i tak kilka dostali i zgwałcili. Ludzie się bali z chaty głowę wychylić, bo za byle co strzelali do nich. Już my myśleli, że to ostateczna godzina wybiła i chyba już z życiem nie wydostaniemy się od tych kozaków.

Wódki koniecznie chcieli dostać, ale tej w chałupach nigdzie nie było. Weigel, karczmarz, jak tylko usłyszał, że Moskale idą, zamknął karczmę, zarygował się w mieszkaniu razem z córką, siedemnastoletnią dziewczyną. Ale kozacy dowiedzieli się, że karczma jest we wsi, dalej poczęli się do niej walić. Pukają i pukają we drzwi — zamknięte. Rozbili drzwi i weszli do karczmy. Co tylko było wypili, zjedli, poniszczyli mu sprzęty, jakie miał w karczmie. A on był w drugim pokoju i słyszał przez drzwi, jak jego cały dorobek zmarniał, włosy na głowie targał z rozpacz. Jak już nie było nic do picia w karczmie, poczęli obszukiwać dom, czy gdzieś nie ma magazynu obok karczmy. Spozatręgli drzwi prowadzące do dalszych pokoi. Wywalili te drzwi, wpadli do pokoju, gdzie przerażony Weigel z córką przebywał. Córka ze strachu skryła się pod łóżko, on zaś na łóżku siadł, aby ukryć córkę przed pijanymi kozakami. Poczęli wołać o wódkę. Jeden z nich zaświecił zapalną, oświetlając pokój. Spozatręgli drżące ze strachu Weigla i dalej groźnie do niego, gwałtownie wódkę ukrytą. Ostatnie faszki, jakie miał w pokoju, ze świecą śliwownicą dał im, zaklinając się, że niema już ani kropki. Ale to im nie wystarczało. Zapalnikami świecąc, rozpoczęli poszukiwania i... znaleźli... ukrytą pod łóżkiem córkę karczmarza.

Wsunął się jeden z nich pod łóżko, za rękę ciągnie dziewczynę, śmiejąc się przeraźliwie.

Stary Weigel na kolana przed nimi padł, prosił, by córce spokój dali — to on okup da im sowity — i o wódkę się jeszcze postara.

Pozornie zgodzili się na to. Kazali mu pieniądze wszystkie przynieść i świece, bo chcą się u niego potem zabawić, a po ciemku nie będą siedzieć.

Weigel pobiegł do karczmy, pieniądze przyniósł, świec kilka i parę flaszek wina.

Zaświecił im świecę, postawił na stole, odkorkował flaszkę z winem, pokornie podając kozakom. Ośmset koron im dał, jako wykupno, żeby córce krzywdy nie zrobili. Zabrali mu zegarek z kieszeni